Rok I. Kraków, dnia 15. kwietnia, 1903. Nr. 4.

PRZYSZŁOŚĆ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI KSZTAŁCĄCEJ SIĘ MŁODZIEŻY

WYCHODZI 1. I 15. KAŻDEGO MIESIĄCA

WARUNKI PRZEDPŁATY: Dla miejscowych miesięcznie **80** hal., dla zamiejscowych 1 kor. Numer pojedynczy **40** hal. Prenumeratę można także składać rocznie, półrocznie i kwartalnie. Rękopisów nie zwraca się.

Adres Redakcyi i Administracyi: **KRAKÓW, WIELOPOLE 5.** Komitet red. urzęduje codziennie od 11–12 i od 5–6 z wyjątkiem sobót. W niedzielę od 10–12.

ZE ZJAZDU.

W dniach 5., 6. i 7. kwietnia b. r. odbył się we Lwowie zjazd delegatów „Ogniwa“, związku towarzystw kształcącej się młodzieży polskiej w Austryi, w parę tygodni po zatwierdzeniu statutu przez władze polityczne. Myśl połączenia kształcącej się młodzieży polskiej w Austryi wyłoniła się już przed dwoma laty w Czytelni Akad. lwowskiej, za staraniem której zjechali się w Krakowie dnia 6. i 7. czerwca 1901 r. delegaci towarzystw akad. celem uchwalenia statutów. Po długich dyskusyach ułożono projekt statutu, o którego zatwierdzenie trwały starania przez półtora roku. Obecnie już instytucya tak ważna dla młodzieży, jak Związek, jest zatwierdzona i rozpoczyna swą pracę. Jakie będzie miała znaczenie dla życia młodzieży i czy odpowie pokładanym w niej nadziejom?— przyszłość okaże. Jednakże już dzisiaj, wnioskując z dotychczasowego przebiegu sprawy, można rokować dobre nadzieje. Już zjazd z 1901 r. a jeszcze w wyższym stopniu obecny okazał, że młodzież potrafi uszanować wzajemnie swe odmienne przekonania, że potrafi się wznieść ponad waśnie partyjne i spokojnie, rzeczowo obradować nad sprawami, które ją żywo obchodzą. Wśród obrad na zjeździe nie pojawił się żaden fałszywy ton, któryby zamącił ogólną harmonię, a o ile z początku panowało pewnego rodzaju niedowierzanie, znikło ono w miarę dalszej pracy, dzięki dobrej woli zgromadzonych delegatów. Zjawisko to wydaje się dziwnem wobec głosów, jakie w ostatnich czasach pojawiły się w prasie o młodzieży, lecz jest zupełnie zrozumiałem dzięki doświadczeniu, jakie zrobiła młodzież kształcąca się za granicą, rozbijając się na dwa związki towarzystw: Zjednoczenie o barwie narodowo-demokratycznej i Związek socyalistyczny.

Przebieg zjazdu „Ogniwa“ był pod każdym względem poważny i świadczył o dojrzałości uczestników i należytem pojmo-

waniu doniosłości tego pierwszego u nas ogólnego wiecu młodzieży polskiej. Na ten zjazd przybyli przedstawiciele Czytelni polskiej w Leoben, by wobec reprezentacyi całej młodzieży polskiej (bo i Zjednoczenie tow. polskich za granicą było reprezentowane przez delegatów-gości) oczyścić się od zarzutów, stawianych członkom tej Czytelni, że utrzymują u siebie zwyczaje burszenszaftów niemieckich. Obok rehabilitacyi — sprawozdanie kolegów górników z Leoben miało dla ogółu wielkie znaczenie z tego powodu, że zapoznało z żywem życiem koleżeńskiem, kwitnącem na obczyźnie, o jakiem my w kraju nie mamy najmniejszego wyobrażenia. Tam każdy, kończący studya, uważa się w dalszym ciągu za członka stowarzyszenia, płaci na jego rzecz wkładki, utrzymuje stosunki z członkami. Do dawnego kolegi zjeżdża młodszy kolega, jak do własnego domu, przyjmowany serdecznie. Wyraz „pan“ z życia koleżeńskiego tam jest stanowczo wykluczony. Gdy różnica wieku jest bardzo znaczna, używa się w stosunku do dawnego kolegi zamiast zwykłego „ty“ — „stara strzecho“.

Również większe wrażenie wywarło sprawozdanie delegatów z Czerniowiec. W stowarzyszeniu „Ognisko“, liczącem 17 członków, w trudnych warunkach pracuje tamtejsza młodzież polska nie tylko nad własnem wykształceniem, lecz zarazem rozpoczyna pracę wśród ludu polskiego na Bukowinie, narażonego w wysokim stopniu na wynarodowienie. W sprawozdaniu przebijala się gorąca chęć zainteresowania ogółu młodzieży temi stronami zapoznania ze stosunkami na Bukowinie, którą prawie nikt dotychczas się nie zajmował. Te dwa sprawozdania wniosły w zebranie nowe ożywcze soki, zwłaszcza że zjazd przeładowany był sprawami formalnemi, których nie dało się uniknąć na tym I. zjeździe. Przeciąg trzydniowy obrad okazał się za krótki, by wyczerpać cały porządek zjazdu. Przedewszystkiem odpadły referaty o Uniwersytetach warszawskim, krakowskim i lwowskim, które od początku zjazdu zapowiadały gorące i ożywione dyskusye. Również nie powzięto żadnej decyzyi w sprawie poruszonej przez krak. Czytelnię Akademicką, dotyczącej urządzenia przez „Ogniwo“ ogólnego zjazdu młodzieży słowiańskiej w Krakowie. Myśl ta okazała się dla ogółu delegatów, jak na teraz, jeszcze za mało dojrzałą.

Szersza dyskusya toczyła się nad akademickiemi kołami T. S. L. Zastanawiano się nad tem, czy one mogą wejść w skład „Ogniwa“, jako stowarzyszenia, których członkami mogą być ludzie nie należący do młodzieży i których działalność skierowana

jest na zewnątrz ku uświadomieniu ludu, nie zaś na wewnątrz dla młodzieży. Powszechne uznanie zyskała opinia, że ak. Koła T. S. L. są szkołą, w której młodzież praktycznie kształci się dla przyszłej pracy obywatelskiej, że pracując wśród ludu, młodzież daleko więcej bierze od tego ludu, niż sama mu w swych wykładach dać jest w stanie, wskutek czego nie można tych Kół uważać za instytucye z życiem akademickiem nic wspólnego nie mające. Stąd zjazd aprobował przyjęcie akad. Kół do „Ogniwa“ przez tymczasowy Zarząd, nie przesądzając stanowiska, jakie wobec tego faktu zajmie Zarząd główny T. S. L. Obok Kół akad. także Pomoc Bratnia zakopiańska żywiej interesowała ogół delegatów. Instytucya ta, tak ważna dla młodzieży, weszła w skład „Ogniwa“, a zjazd uchwalił wysłać delegata na najbliższe walne zgromadzenie.

Zarząd „Ogniwa“ ma się zająć sprawą połączenia funduszu, zbieranego na sanatoryum dla młodzieży w Zakopanem, przez komitet, istniejący w łonie krak. Czytelni Akademickiej, z funduszami zakopiańskiej Pomocy Bratniej.

Poruszono sprawę rozdawania stypendyów przez Wydział krajowy. Tu młodzież jednomyślnie potępiła obecnie istniejący system, wyrażając opinię, że rozdział stypendyów powinien się odbywać na propozycyę władz średnich i wyższych zakładów naukowych, działających w porozumieniu z przedstawicielami młodzieży, którzy o stanie materyalnym kolegów najlepiej są poinformowani. Obecny system daje sposobność do nadużywania istniejących fundacyi dla osób protegowanych. Potępiono tworzenie stypendyów t. zw. szlacheckich i wszelkie ograniczenia wyznaniowe i miejscowe.

Szerszą debatę wywołał wniosek jednego z delegatów, pragnący odebrać zarządowi prawo zabierania głosu w sprawach narodowych i społecznych ogół interesujących, z obawy majoryzowania opinii młodzieży przez pewną grupę, liczniej reprezentowaną u steru. Wniosek upadł.

Zarządowi polecono porozumieć się z poszczególnemi towarzystwami co do kwoty, jaką w tym roku mają one wnieść do kasy „Ogniwa“. Jako minimum przyjęto $2^1/_2$ % od rocznej sumy wkładek członków, wykazanej w ostatniem sprawozdaniu.

W skład zarządu, na wniosek komisyi matki, weszli: Edward Dubanowicz, przewodniczący (przewodn. Czyt. Akad. lwowskiej), Stanisław Sokołowski, zastępca (przewod. Bratniej Pomocy techników), ak. Kucharski, skarbnik i Mościcki, sekretarz. Członkami

zarządu wybrani zostali: ak. Bator, Hartleb, Plutyński, Stroński Ferdynand i Wirstlein. Nadto wybrano członków sądu rozjemczego i komisyi rewizyjnej.

Obrady zakończyły się w trzecim dniu zjazdu o północy wśród powszechnej zgody i harmonii delegatów, świadcząc o wzajemnem zbliżeniu się młodzieży. Uczestnicy opuścili salę zebrań z tem przekonaniem, że nowo utworzona instytucya odegra ważną rolę w życiu młodzieży, że stanowić będzie neutralny teren, na którym będą miały sposobność spotkać się i porozumieć nawet wrogo wobec siebie usposobione odłamy młodzieży, o ile i nadal objawi się u uczestników ta sama dobra wola i wzajemna tolerancya przekonań, jak to miało miejsce na obecnym zjeździe.

L. Camp.

ZOFIA WÓJCICKA.

„O IBSENIE“.

(ODCZYT W UNIWERSYTECIE LUDOWYM IM. ADAMA MICKIEWICZA W KRAKOWIE.)

(Ciąg dalszy.)

„Ty sam nauczyłeś mnie myśleć i zato jestem ci wdzięczną“ — mówi pani Alving do pastora Mandersa — „gdyś mnie zmuszał do tego, coś nazywał obowiązkiem, gdyś uważał za sprawiedliwe i godne pochwały to, przeciw czemu buntowała się cała moja dusza, przejęta wstrętem; stało się, żem wszystkie twoje nauki postanowiła własną miarą wypróbować. I cóż — gdym chciała tylko jednę małą niteczkę poruszyć, wszystko rozleciało mi się w ręku. Spostrzegłam, że była to tylko robota maszynowa.“

Tak bystry jednak umysł, jak Ibsena, nie mógł nie spostrzedz, że prawdy jego zbyt są bezwzględne i surowe dla szerokiego ogółu. „Wróg ludu“ wziął się zatem do innej broni — do — ironii. Nie chcecie słuchać zbyt ostrej prawdy? uszy was bolą? Dobrze — powiem wam więc coś, co wam się podobać będzie. I ironizując i czytelników i siebie, pisze o strasznych skutkach fanatyzmu prawdy, w prześlicznym dramacie „Dzika kaczka“.

Przedstawia nam takiego fanatyka prawdy w Grzegorzu Werle. Człowiek ten, wpatrzony w ideę swoją „idealnych wierzytelności“, przychodzi do takiej rodziny, której istnienie takie na kłamstwie oparte i usiłuje wzbudzić drzemiące sumienia. Źle jednak trafił — ci ludzie — i ten znakomicie narysowany, z przedziwną przesubtelną ironią Hialmar Ekdal i Gina, ograniczona jego żona — to trupy — to bałwany. Hialmar to skończony kabo-

tyn życia, komedyant i głupiec — nie człowiek, któryby mógł zrozumieć i wznieść się na wysokość uczuć prawdziwie ludzkich. I Grzegorz Werle zamiast oczyścić zgniłe, bagienne powietrze tego domu, uderzając w kłamstwo, trafia w pierś biednej dzikiej kaczki, małej córeczki Ekdalów, Jadwini, która, chcąc dać ojcu dowód swej miłości, zabija się.

Postać Jadwini jest tak śliczna, tak pełna wdzięku i poezyi, że choć umiera w sztuce, żyć będzie zawsze w pamięci naszej. To biedne, niewinne, szczere i proste dziecko z tak gorącą duszyczką, ukochane, najsłodsze i najmilsze może z dzieci duchowych poety, niema równej sobie w literaturach świata.

Ibsen-poeta — Ibsen-apostoł — Ibsen-bojownik jednak nie tylko wskazuje obowiązki, ale walczy również o prawa.

Walczy o prawa dla pokrzywdzonych, walczy o prawa dla skrępowanej prawami indywidualności, o prawa ludzkie dla kobiety, o prawa dziecka.

Kiedy w prześlicznym dramacie „Rosmersholm" pani Helseth powiada do Rebeki West:

„Bo przecież w końcu jesteśmy tylko słabe kobiety." — Rebeka odpowiada jej:

„Tak, to wielka prawda. Jesteśmy wszyscy słabymi ludźmi."

Kobieta nie była dotąd człowiekiem! — woła Ibsen! Była niewolnicą, bawidełkiem, rzeczą mężczyzny — czem chcecie wreszcie, ale człowiekiem nie była.

Ibsen pokazuje nam małżeństwo — na pozór dobre małżeństwo — takie z lepszych. Uczciwe, spokojne, obdarzone dziećmi. — Między małżonkami niema różnic ani kłótni, jedno drugie nie zdradza — kochają się.

A jednak...

A jednak nie jest to małżeństwo uczciwe. Uczciwe tak, jak to rozumie Ibsen.

Nora jest tylko laleczką swego męża, pieścidełkiem, ozdobą jego salonu i niańką jego dzieci. Nie dzieli z nią ani swoich zmartwień, ani nadziei, ani celów, ani prac — żyją obok siebie jak dwoje ludzi obcych, zjednoczonych tem jedynie, że mieszkają pod jednym dachem. Nora nie jest towarzyszką Helmera — nie jest jego żoną. Nora jest dzieckiem, które bawi się, stroi, zjada pokryjomu łakocie. Do tego stopnia nie wyrobiono w niej człowieczeństwa, do tego stopnia nie dano jej najzwyklejszych bodaj pojęć o uczciwości — takich pojęć, które ma przeciętny nawet uczeń szkoły średniej, że aby uratować męża w chorobie i módz

wyjechać z nim za granicę, fałszuje ona weksel, podpisując na nim nazwisko ojca.

Taką krzywdę wyrządziwszy kobiecie, robi jej jeszcze Helmer gorzkie, brutalne prawie wymówki, gdy już rzecz na jaw wyszła i grozi skandalem. To otwiera nareszcie oczy Norze. Przez kilka dni trwogi i niepokoju, przez kilka dni cierpienia dochodzi ona do początków uświadomienia. Zastanawia się nad sobą i nad wszystkiem, myśli, bada, aż następuje między nią a mężem ta kapitalna rozmowa, która tak jasne światło rzuca na przekonania Ibsena i myśli jego o małżeństwie i kobiecie.

Nora oświadcza mężowi, że chce odejść od niego, wyjechać z domu, chce porzucić męża, który nie umiał uszanować w niej człowieka i dzieci, dla których ona nie umiała być matką. Ona — Nora była lalką dla męża tak, jak dzieci jej znowu były laleczkami.

— Odchodzę — mówi więc do męża — odchodzę, aby się naprzód wychować na człowieka,- aby sobie wyrobić własne samodzielne przekonania i zapatrywania na świat, na cel życia, na religię i na wszystkie te rzeczy, które są najważniejsze dla człowieka, a o których ona nie myślała dotąd wcale.

— „Zaślepiona, niedoświadczona kobieto!“ — woła Helmer — „zapominasz o najświętszych obowiązkach!“

— „Co uważasz za najświętsze obowiązki?“ — pyta Nora.

— „Obowiązki względem męża i dzieci.“

— „Mam inne, równie święte.“

— „Jakież to?“

— „Obowiązki względem samej siebie.“

— „Przedewszystkiem jesteś żoną i matką.“

— „Nie — przedewszystkiem jestem ludzką istotą tak samo, jak ty — a przynajmniej chcę nią zostać.“

Potem dopiero, gdy się wychowa na prawdziwego, pełnego człowieka, mogłaby być żoną i wychowywać własne dzieci. A także, aby wróciła do męża potrzebaby, aby i on wychował się na zupełnego człowieka, aby zmienił cały dotychczasowy sposób myślenia. Ale na to potrzebaby, aby się stała nadzwyczajność...

Oto, jak Ibsen rozumie małżeństwo. To, co wy nazywacie małżeństwem — woła — nie jest niem wcale! Ma to być dobrowolny związek, wspólne życie dwojga rozumnych, uczciwych, wolnych istot, dla wspólnych celów i obopólną podtrzymywane pracą. Każde z małżonków wkłada we wspólne dobro i poświęca dla dobra drugiego pracę swą, myśli i uczucia — ale żadnemu z nich nie wolno żądać od drugiego zaparcia się własnej indywidualno-

ści, zaprzepaszczenia swego własnego, swobodnego, myślącego i chcącego „ja“.

Ta myśl przewodnia towarzyszy ciągle twórczości Ibsena i przewija się przez nią, jak nić wyraźna i mocna, którą widać w każdej sytuacyi, nadawającej do tego sposobność.

Kobieta nie jest u niego przedewszystkiem kobietą, albo też przedewszystkiem żoną, matką, kochanką lub siostrą. Kobieta jest dlań przedewszystkiem człowiekiem — i to człowiekiem takim a nie innym — tak, jak przedewszystkiem człowiekiem a potem dopiero mężczyzną, ojcem, mężem lub synem jest i był zawsze mężczyzna.

Ta sama myśl praw człowieczeństwa kobiety i praw jej indywidualności jest przedmiotem innego prześlicznego, symbolicznego poematu dramatycznego „Oblubienica morza“. I tutaj Ibsen żąda wielkim głosem praw rozwoju i swobodnego wyboru dla kobiety na tle przecudnej, poetycznej pieśni o morzu. Czuje się tu morze — pachnie ono, szumi, nęci i śpiewa — jest ściśle związane nie tylko z naturą ludzką, ale nawet z wypadkami i losem.

Tę samą myśl widzimy także w „Brandzie“, w „Upiorach“, w „Podporach społeczeństwa“, w „Rosmersholmie“ i we wszystkich zresztą prawie dziełach Ibsena.

Jeżeli idzie o t. zw. „sprawę kobiecą“, to Ibsen nie był dawniej zbyt wielkim jej zwolennikiem. Z początku nawet był wprost przeciwnym temu ruchowi, który już w zeszłem stuleciu tak szerokie zwłaszcza w Norwegii objął warstwy. Nie jest on też bojownikiem tej sprawy, jak n. p. Björnson, ale jest piewcą prawdy i sprawiedliwości, której żąda dla wszystkich zarówno: wolność rozwoju, wolność wyboru, wolność indywidualności. Nie idzie mu o sprawę kobiecą — idzie mu o sprawę ludzką. Równe obowiązki, równe i prawa. Równa odpowiedzialność — równa sprawiedliwość. Kobieta - człowiek i mężczyzna - człowiek — dwoje ludzi — to dopiero małżeństwo. Na takiej rodzinie oprzeć się dopiero może przyszłe społeczeństwo, lepsze i szlachetniejsze, niż dotąd.

Oto *credo* Ibsena w tej kwestyi.

Możnaby nawet powiedzieć, że pragnąc podnieść kobietę ponad ogólny poziom, pragnąc tak bardzo uczynić ją pod każdym względem równą mężczyźnie, uczynić ją myślącym i czującym samodzielnie, silnym i odpowiedzialnym człowiekiem, wyposażył Ibsen wszystkie niemal prawie kobiece swe postacie większą prawie tęgością, dumą, większą siłą duszy i woli, wyraźniejszą indywidualnością, niż swe postacie męskie. Rebeka w „Rosmersholmie“, lubo popełniła zbrodnię, silniejszą jest, sympaty-

czniejszą nawet i — większą od samego Rosmera. Gunhilda Borkman jest twardszą i bezwzględniejszą od męża swego Jana Gabryela Borkmana, pani Alving szczerzej myśli i na większą ją stać odwagę od pastora Mandersa. Hilda Wangel żywotnością, wolą i zapałem olśniewa wprost i zaćmiewa mistrza Solnessa. Nawet ta dziecinna, laleczkowata, dopiero budząca się Nora, o ileż jest więcej warta od tego „porządnego człowieka“ swego męża. Nawet ta głupia, ograniczona i zepsuta Gina Ekdal więcej jest wartą od męża swego Hialmara, nie mówiąc już o Heddsie Gabler, której wyraźna t. zw. „męska indywidualność“ przygniata zupełnie głupiego męża jej, Tesmana.

Wszystkie jego postacie kobiece żyją pełnem, bujnem życiem — są odważne, dzielne, dumne i szczere — są sobą.

A jak one kochać umieją!

Jadwinia Ekdal umiera z miłości dla ojca — Rebeka także z miłości dla Rosmera, aby mu wrócić wiarę w samego siebie, wiarę w dobro i sprawiedliwość, umrzeć potrafi. A inne umieją żyć dla ukochanych. Kiedy Peez-Gynt wyśmiany, wyszydzony przez wszystkich, bankrut na wszystkich polach, wraca do ojczyzny, jedna tylko Solvejg, porzucona narzeczona młodości, czekała nań z pełną zawsze niezachwianą wiarą w niego. I wita go radośnie, błogosławiąc go zato, że jej dał takie piękne życie, całe miłością ku niemu wypełnione i kołysząc go do snu pieśnią miłości! Ella Rentheim kocha Borkmana wiernie i niezmiennie przez życie całe i ona to zamyka mu powieki do snu wiecznego. Irena w „Dniu zmartwychwstania“ oddaje Rubekowi-artyście piękne swe, młodzieńcze ciało i całą swą bogatą duszę, a gdy nią wzgardził, dochowuje mu tej miłości życie całe. Lona Hessel w „Podporach społeczeństwa“ kocha Bernicka mimo to, że widzi jego winy i ona to właśnie doprowadza go do skruchy i poprawy. A cóż dopiero mówić o tej prześlicznej, niezapomnianej postaci Asty w „Małym Eyolfie“, Elinie Gyldenlöve, Hjördis albo Marcie, siostrze Bernicka, której cień zaledwie przesuwa się przez sztukę, ale której obecność czujemy ciągle po zapachu jej tkliwej, wiernej, beznadziejnej miłości.

Kobiety Ibsena kochają. Umieją kochać jako żony, siostry, kochanki — umieją kochać przedewszystkiem, jako matki.

(Dokończenie nastąpi.)

DR K. NARYMUND.

O PLĄSAWICY UWAG KILKA.

Pląsawica *(chorea Sydenhami s. minor)*, cierpienie powodujące zaburzenia ruchowe, któremu podpadają przeważnie dzieci (n. p. przestraszone przez kogoś lub czemś) i młodzież płci obojga (zwłaszcza dziewczęta), należy do rzędu t. zw. „neuroz“, środkowego układu nerwowego, mających swe siedlisko w mózgu. Neurozą nazywa się takie cierpienie nerwowe, którego zmian anatomicznych w ustroju dotychczas nie zdołano odkryć. Neurozy centralnego systemu nerwowego powodują rozmaite zaburzenia i tak: 1) epilepsyę, tetanię, atetozę, katalepsyę, tics i omawianą właśnie pląsawicę — ruchowe, 2) neurastenię i maciennictwo — psychiczne, 3) haemicrania (migrena) — czuciowe, 4) morbus Basedovii — odżywcze.

Nadto są neurozy: sercowe *(tachij, bradycardia)*, żołądkowe, pęcherzowe i t. d., a wreszcie „astma oskrzelowa“ i tężec *(tetamus)*, jakkolwiek Nicolayer odkrył prątek tej.... „neurozy“.

Cierpienie to uleczalne, skłonność doń bywa dziedziczną — zdarza się najczęściej u osobników chorych na wady zastawkowe serca, lub jest następstwem przebytego reumatyzmu stawowego i niema nic wspólnego z *chorea Germanorum s. magna*, gdyż tamta jest objawem tylko (a nie cierpieniem swoistem) u chorych na epilepsyę lub maciennictwo. Występuje zazwyczaj u dzieci ostro, choć znane są wypadki pląsawicy Sydenhama kilka lat trwającej. U dorosłych spostrzegano cierpienie to w formie przewlekłej, a nawiedzone niem osoby podeszłego wieku trapi ono nieraz do zgonu. Nawroty bywają częste, wypadki zejścia śmiertelnego nader rzadkie.

Cierpienie to znane więcej pod nazwą „taniec św. Wita“. — Niegdyś leczono je suggestywnie, polecając chorym odbywać pielgrzymkę do świątyń pod wezwaniem św. Wita — rozpoczyna się ono rozdrażnieniem, brakiem łaknienia, zblędnięciem cery, zniechęceniem do pracy, skłonnością do płaczu, nieznacznymi bólami podobnymi do reumatycznych i wogóle osłabieniem. Objawem najważniejszym, który zwraca uwagę tak chorego, jak otoczenia, są niekoordynowane ruchy, które chorzy mimowoli wykonywują nie mogąc się od tego powstrzymać, a wykonywują je przeważnie kończynami górnemi, jakkolwiek zdarza się często, że inne mięśnie są też podrażnione, n. p. kończyn dolnych, twa-

rzy, języka lub krtani, w tym ostatnim wypadku, gdy nasilenie jest większe *(folie musculaire)*, mowa doznaje upośledzenia. Niekiedy bywa połowa ciała wprawioną w ruch pląsawiczny. Ruchy wzmagają się, jeżeli chorzy odczuwają, że na nich zwraca się uwagę, gdy im się to wydaje, lub gdy są czemś „zmięszani". W czasie snu (o ile nie mają widziadeł sennych) a właściwie spania *(somnus)* leżą spokojnie. Dalszym objawem jest bezsenność *(agrypnia)*, co staje się powodem wyczerpania sił spostrzegano nadto rozszerzenie źrenic i silne oddziaływanie na ucisk kręgosłupa, a w usposobieniu zmiany takie, jak: kapryśność, krnąbrność i skłonność do płaczu, co było nieraz powodem, że w szkole karcono dzieci zupełnie bezpodstawnie za rzekome wykroczenia, a nawet je bito. Zresztą chorzy **nie gorączkują** i nie odczuwają — pomimo wykonywania tak częstych ruchów — wcale zmęczenia.

Istota pląsawicy jest nieznaną, gdyż — jak wyżej wspomnieliśmy — cierpienie to jest „neurozą"; prawdopodobnie wywoływa je jakaś toksyna.

Leczenie polega na przestrzeganiu stosownej „dyety", powstrzymaniu się od używania napoi wyskokowych lub innych drażniących i na kąpielach ciepłych o 28° R. (35° C.) przez 15—30 minut. Z leków polecają lekarze najczęściej arszenik i antipirynę, a przy silniejszych objawach skutecznem jest podawanie chorym bromku potasu w większych dawkach, nadto stosowanie olejku starzęśli *(gaulteria procumbens L.)* lub wstrzykiwania podskórne fizostygminy. Podawanie środków nasennych nie jest wskazanem. Większą wartość od leków „aptecznych" mają zabiegi wodolecznicze, gimnastyka i galwanoterapia, które umiejętnie stosowane dają bardzo dobre wyniki. Chore dzieci odosabnia się zazwyczaj ze względu na to, że u chorego dziecka takiego znajdującego się w otoczeniu innych, temże cierpieniem w wyższym stopniu nawiedzonych, pląsawica mogłaby przybrać większe rozmiary, ewentualnie dlatego, aby resztę dzieci uchronić przed nabyciem tejże, przez „naśladownictwo".

Pląsawica spostrzegana u dorosłych »*chorea Huntingtoni*«, której objawy występują dopiero w 30—40 roku życia jest nieuleczalną, dziedziczną i powoduje cierpienia psychiczne, czem się właśnie odróżnia od pląsawicy właściwej.

Z powyżej przytoczonych danych konstatujemy, że o najważniejszem, to jest o przyczynie i zmianach anatomicznych przy tem cierpieniu medycyna niczego nie wie.

Pozostawiając tedy zbadanie zmian anatomicznych ewentualnie „zaszczyt“ odkrycia prątka lub „pierwotniaka“ i sposobność okrycia się „sławą nieśmiertelną“ uczonym „togatis“, zastanowimy się pokrótce nad sposobem zapobiegania temu cierpieniu i w usiłowaniu naszem od razu trafimy na... przeszkodę! Trudnością w obmyśleniu środków zapobiegawczych zdaje się być to, że owe „ruchy“ wzmagają się, gdy chorzy odczuwają, że się zwraca na nich uwagę, a zatem wszelkie upominanie ich, aby starali się ile możności powstrzymywać się od tychże ruchów, tembardziej karcenie, mogłyby sprawę leczenia opóźnić — jeżeli jej nie popsuć. Mimo to jednak rodzice (zwłaszcza matki) lub wychowawcy powinni łagodnem postępowaniem wpływać na chorych dodatnio i ile możności baczyć, aby nie ulegali podrażnieniom, mogącym spowodować napady, a tak postępując i stosując leki apteczne, lub inne zabiegi pod nadzorem wprawnego lekarza, mogą być prawie pewni, że chorzy rychło do zdrowia powrócą.

EDMUND BIEDER.

OSIOŁ A IDEAŁY.

W skwarny słoneczny dzień lipcowy szedł piaszczystą drogą osioł z ogromnym ciężarem na grzbiecie. Słońce paliło z góry straszliwie, ciężar grzbiet przygniatał, więc biedne zwierzę popadło w stan melancholii i zadumy i szło leniwie, myśląc o swoich poprzednikach, którzy tą samą drogą ten sam ciężar przenosili. Szedł znękany, nie znał bowiem kresu swej żmudnej wędrówki, a poganiacz okładał go jednostajnie batem, ilekroć osioł przystanął, żeby spocząć. Wreszcie koło południa, gdy słońce zbyt silnie przypiekać poczęło, a poganiacz z osłem znaleźli się w pobliżu pagody, przywiązał poganiacz osła do drzewa, a sam położył się w cieniu pomarańczy i zasnął snem głębokim.

Tymczasem z pagody wyszedł tłum braminów w białych szatach, a jeden z nich spostrzegłszy osła, uginającego się pod ciężarem z miną melancholijną, zbliżył się do niego i zapytał, co niesie.

— Ideały niosę — odpowiedział osioł z dumą.

Bramin sięgnął ręką w juki i wydobył stamtąd węzelek. Po otwarciu znalazł w nim księgę pięknie oprawną ze złoconym brzegiem i napisem: „Ideały Brahmy“.

— Dokąd z tem idziesz? — zapytał bramin z rozjaśnionem obliczem.

— Nie wiem. Pan mój, który śpi tutaj oto w cieniu pomarańczy, obładował mi grzbiet jukami i powkładał w nie różne węzełki. Ciężko mi wprawdzie i ledwo nogami powłóczę, ale pan popędza batem, więc iść muszę — chociaż sam nie wiem dokąd zdążam.

— Bardzo pięknie spełniasz swoje obowiązki — rzekł bramin, kładąc z powrotem „Ideały Brahmy" w juki osła — nie należy nigdy osłowi myśleć o celu wędrówki i o tem, co niesie na grzbiecie. Nauczysz się przez to pokory i cierpliwości i oszczędzisz sobie przez to wielu zawodów w tem życiu doczesnem.

To rzekłszy odszedł bramin poważny, przyłączając się do reszty kapłanów. Po chwili doleciał wprawdzie do uszu osła z ich strony jakiś dziwny śmiech szyderczy, ale że mu bramin myśleć zakazał — osioł sobie tego śmiechu wytłómaczyć nie mógł.

Wtem wysypał się z pagody rój młodych, sentymentalnych, eterycznych dziewcząt i otoczywszy zachwyconego ich urodą osła, poczęły z ciekawością wywlekać z juków węzełki.

— Cóż to niesiesz osiołku? — zabrzmiał metaliczny głos młodych dziewcząt — cóż jest w tym oto węzełku?

— Miłość platoniczna — odpowiedział osioł z godnością.

— Miłość platoniczna?! ha! ha! ha! ha! ha! ha! Co to jest?! ha! ha! ha! Jakiś ty głupi osiołku! ha! ha! ha! — wołały dziewczęta. — Nieśże sobie dalej swój węzełek z miłością platoniczną, tylko uważaj, żeby ci po drodze na słońcu nie stopniała, bo dzień dziś bardzo gorący.

Jeszcze nie ochłonął osioł ze świętego oburzenia, kiedy go tłum, który tymczasem wypłynął ze świątyni, zwartym obstąpił kołem i począł wywlekać z juków rozmaite węzełki i wysypywać na ziemię różne ideały. Była tam Cnota, Prawość, Szlachetność, Otwartość, Koleżeństwo, Wierność małżeńska, Nieświadomość dziewicza i inne piękne ideały, a każde otwarcie nowego węzełka tłum przyjmował wybuchami serdecznego śmiechu. Oburzyło to niezmiernie osła, który niósł swój ciężar z powagą i godnością, ale folgi swemu oburzeniu dać nie mógł, będąc przywiązanym do drzewa. Kiedy się wreszcie tłum już dość ubawił, podniósł z ziemi węzełki z ideałami, które się przez ten czas w jego rękach nieco powalały i powkładał je z powrotem w juki na grzbiet osła.

Po odejściu tłumu osioł popadł znowu w pierwotną zadumę i smutek, że z takiem ciężarem musi chodzić w dzień skwarny po świecie. Bolały go zresztą drwiny, z jakiemi tłum przyjął jego ideały, które mu w tej chwili podwójnie ciężyć poczęły. Kiedy się więc poganiacz zbudził i począł go batem do dalszej drogi popędzać, osioł z miejsca ruszyć nie chciał.

Poganiacz podwoił razy.

— Nie mogę panie — zajęczał osioł — nie mogę udźwignąć ciężaru, ulżyj mi panie! zdejm mi z grzbietu „Ideały religijne Brahmy“.

— Ruszaj! — krzyknął gniewnie poganiacz.

— Zmiłuj się panie! Nie udźwignę tylu ideałów. Zdejm mi w takim razie z grzbietu Miłość platoniczną, albo Wierność małżeńską, bo mi doprawdy za ciężko — błagał osioł.

Nie! krzyknął stanowczo poganiacz. Od tego jesteś osłem, żeby nosić ideały, a jeżeli nawet padniesz pod ciężarem, świat nic na tem nie straci, bo cię inny osioł zastąpi. To rzekłszy począł go okładać batem. I osioł ruszyl naprzód ze zwieszoną głową

MELODYA ŁĄK.

Z dalekich, barwnych, kwietnych łąk
Oparów się podnoszą mgły —
Gdzieś w trawach senny huczy bąk...
W przeźroczu mgieł melodya drży —
Melodya barwnych, kwietnych łąk.

W przeźroczu mgieł melodya drży,
Półtonów cichych pełna drżeń —
Na oczy me sprowadza sny —
Na moje myśli kładąc cień...
W przeźroczu mgieł melodya drży...

Na moje myśli kładzie cień
Wśród białej rosy nikłych larw —
Wśród niewidzialnych blasków drgnień,
Znużenia snem, melodyą harf,
Na moje myśli kładzie cień.

Znużenia snem, melodyą harf
Otacza mnie mych rojeń chór,
Tęsknoty, wspomnień mnóstwem larw
Zabija myśl... wciąż szumi bór...
Znużenia snem... melodyą harf...

Wiedeń. *Stanisław Radecki Mikulicz*

O SIENKIEWICZA.

Zaciekła polemika zapełniła kilka ostatnich feljetonów „Kuryera Warszawskiego“. Charakterystyczne one bardzo dla „Kuryera“, no i dla ich autora p. Kaprysa-Rabskiego.

Rozchodzi się o naszą narodową chlubę, o Sienkiewicza, któremu cała Warszawa, a zwłaszcza „Kuryer“, a ze wszystkich jego współpracowników szczególnie p. Kaprys wdzięczen jest za to, że rozniósł swemi nieśmiertelnemi martyrologiami sławę imienia polskiego od szczytów piramid, aż po góry lodowe Szpicbergu, a nawet może jeszcze i dalej.

I oto stala się rzecz niesłychana. Stanisław Brzozowski, „szczypawka“, „maly pogromca wielkich ludzi“, „kabotyn“ etc. (wszystko to są synonimy na oznaczenie przeciwnika używane przez p. Rabskiego), ośmielił się „z wyżyn swojej kretowiny“, t. j. „Głosu“ warszawskiego, wyrazić sąd świętokradzki, że Sienkiewicz jest dla Polaka „człowiekiem obcym“, że środki kojące, które nam na rany duszy przykładał, równały się naiwnemu zapytaniu dziecka na widok konającej matki: „Mamusi niedobrze? Główka boli?“ — że wobec zatraty ideału w narodzie, kiedy od niego wyczekiwano cudu, rzucał nam frazesy w rodzaju: „Systematy filozoficzne przemijają, a mszę zawsze się odprawia“, a wreszcie jako plon całej swej działalności dał nam „Quo vadis?“.

Było to delikatnie powiedziane: „Jeżeli będziecie grzeczni, dobrzy, spokojni, posłuszni c. k. władzy, a nadewszystko dufni w Panu, będzie wam dobrze, będziecie mieli ładne żony jak np. Ligia, tylekroć w pismach ilustrowanych reprodukowana, ta sama, którą Bóg wybawił z rąk cezara, dozorców więziennych, byka etc., będziecie mieli przyjaciół domu o sile Krotobójcy Ursusa i t. d. Będziecie sobie żyli spokojnie, wesoło, po domowemu, patryarchalnie, długo, długo... aż do samej śmierci.

Aha! A potem jeszcze korona niebieska i codziennie ambrozya *ad libitum.* Lecz biada temu za życia i po śmierci, kto żyje „bez dogmatu!“ Nudno mu na świecie, patrzy na wszystko z pod przymrużonych powiek, kości go drą każdego rana zanim się ubierze, musi się poddać masażowi (jak np. Petroniusz), a wreszcie po najdłuższem życiu przecina sobie żyły, lub pali w łeb, jak np. rodzony brat Petroniusza — Płoszowski.

Słowa oburzenia wyrwały się z pod pióra p. Brzozowskiego, słowa podyktowane szczerą, ognistą miłością sztuki i ideału. Naturalnie nie przebrzmiały jeszcze, a już grad obelg posypał się na ich autora. Pan Kaprys zapytuje, jakiem prawem p. Brzozowski występuje przeciw Sienkiewiczowi, kiedy ów potrafił „odczuć, zrozumieć i nagrodzić“ na konkursie łódzkim tegoż „Mocarzy“. P. Brzozowski odpowiada, że nie chce się tem krępować, nie chce tej nagrody uważać za „Schweiggeld“ etc. — oddałby ją zresztą, gdyby...

To gdyby posłużyło p. Kaprysowi do nowego artykulu, w którym stara się w najniedołężniejszy sposób ośmieszyć p. Brz., a zwłaszcza jego niemożność zwrócenia pieniędzy.

Wiele tu widać rzucania się, wiele ślicznych frazesów, godnych umieszczenia w artykułach tegoż samego pana Rabskiego p. t. „Ośla łąka“. Nadewszystko wiele złości i chęci zamaskowania jej pobłażliwością dla młodego wieku przeciwnika, który „mając lat 24, ubiera swe ciało w długie majteczki, ale na duszy nosi jeszcze krótkie“.

Metoda to ogromnie stara i ogromnie... ale dajmy temu pokój. Zwróćmy lepiej uwagę na co innego, a mianowicie na sposób argumentacyi, t. j. chciałem powiedzieć ośmieszania przeciwnika. Znać tu wyraźnie naśladownictwo p. Nowaczyńskiego i jego genialnych facecyi, ale różnica mniej więcej taka, jak między „prawdziwem słońcem, na którem stoi Sienkiewicz“, a „takiem z jajecznicy, na którem siedzi p. Brzozowski“ i przypatrują się genialnym polemicznym *salto-mortale* p. Kaprysa, śmiejąc się z jego dowcipów.

A czasem wcale są niezłe te dowcipy. Warto je nawet czytać — „tak do poduszki“ — jakby powiedział p. Kaprys. Szczególnie ładny jest ten zwrot: „P. Brz. począł mi (ze złości zdaje mi się, że go ośmieszono) *in effigie* obrywać guziki u surduta, gnieść gors u koszuli (p. Rabski nosi sztywne gorsy), czesać cylinder pod włos i t. p.“

A wiele jest takich kwiatuszków. Co jeden to lepszy. Widać p. Rabski nauczył się na pamięć przysłowia „Koniec wieńczy dzieło", bo na końcu daje najlepszą ze wszystkiego, ogromnie dowcipną i sympatyczną uwagę o tych „majteczkach na duszy". W polemice tej brak powagi i pewnego uszanowania dla przeciwnika, bo śmieszną jest rzeczą polemizować na kilku szpaltach z przeciwnikiem, którego się uważa za „szczypawkę", „kabotyna" etc. Zresztą sam pan Rabski śmieje się do rozpuku z walki słońca prawdziwego i — „takiego od jajecznicy". *Axel.*

NB. Cudzysłów oznacza słowa wyjęte z artykułu p. Kaprysa.

KONKURS.

Redakcya „Przyszłości" rozpisuje konkurs na: 1) Winietę tytułową na okładkę, 2) Nowelę wziętą z życia młodzieży. Format pisma — szerokość 20 cm., wysokość 25 cm. — Winieta przeznaczoną jest na okładkę kolorową — ma zaś być wykonaną w jednej barwie. — Nagroda pierwsza w obu wypadkach wynosi 25, druga 15 koron, oraz listy pochwalne. Ostateczny termin nadsyłania prac upływa z dniem 1-go maja b. r. Wszelkie formalności konkursowe zachowane.

(Adres: Redakcya „Przyszłości", Kraków, ul. Wielopole l. 5.)

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Kol. H. R. w Przemyślu. Nie zaprzeczamy talentu, brak jedynie pewnego wprawienia artystycznego. „Znak" umieścimy w jednym z najbliższych numerów. Dziękując za życzenia prosimy o obiecane rozprawki. Jury konkursowe stoi poza komitetem redakcyjnym. — **Kol. M. z Cieszyna.** Serdeczne dzięki za życzenia — a napiszcie nam coś o sobie i o naszych! — **Kol. W. ze Lwowa.** „Ognisko" nie było pismem młodzieży i przestało już wychodzić. — **R. Erwidowi.** Piosnka dawno ośpiewana — nic nowego — talent jest, radzimy tylko dalej pracować nad sobą. Numer wyślemy. — **Kol. R. H. w Samborze.** Dzięki. — **Kol. Wysocka z Wiednia.** Recenzye z najnowszych wydawnictw umieszczać będziemy regularnie począwszy od przyszłego numeru.

Czas odnowić przedpłatę za drugi kwartał!

W przyszłym numerze rozpoczniemy druk poważniejszej pracy naukowej.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Adam Wilusz.**
Czcionkami drukarni Literackiej w Krakowie pod zarządem L. K. Górskiego.